

NOC NA MARSIE

Kiedy rudy piasek pod gąsienicami crawlera nagle zaczął osiadać, Piotr Aleksejewicz Nowago wrzucił bieg wsteczny i krzyknął do Mandela: „Wyskakuj!” Crawler szarpnął się, rozrzucając chmury piasku i pyłu, i zaczął się przewracać, zadzierając rufę do góry. Wówczas Nowago wyłączył silnik i sam wyskoczył z crawlera. Upadł na czworaka i, nie podnosząc się, odbiegł w bok. Piasek pod nim osuwał się i zapadał, lecz Nowago jakoś dotarł do miejsca twardego i usiadł, podciągając nogi pod siebie. Zobaczył Mandela, który klęczał na przeciwległym brzegu leja, i otoczoną parą, sterzącą z piasku na dnie leja rufę crawlera. Było teoretyczną niemożliwością przewidzenie tego, że coś podobnego może się zdarzyć z crawlerem typu „Jaszczurka”. W każdym razie tutaj, na Marsie. Crawler „Jaszczurka” był lekkim szybkim pojazdem ? otwartą pięciomiejscową platformą na czterech autonomicznych gąsienicach. Ale właśnie on spełzał powoli do czarnej dziury, gdzie tłusto błyszcząca głęboka woda. Od wody buchała para.

— Kawerna — ochryple powiedział Nowago. — Mieliśmy pecha, że hej.

Mandel zwrócił ku Nowadze twarz zasłoniętą po oczy maską tlenową.

— Tak, mieliśmy pecha — powiedział.

Wiatru nie było wcale. Kłęby pary z kawerny podnosiły się pionowo ku czarnofioletowemu, usypanemu dużymi gwiazdami niebu. Słońce — maleńki jasny dysk nad diunami — wisiało nisko na zachodzie. Po czerwonej dolinie od diun ciągnęły się czarne cienie. Było zupełnie cicho, słychać tylko było szmer piasku osuwającego do leja.

— No dobrze — powiedział Mandel i podniósł się. — To co robimy? Wyciągnąć go oczywiście nie możemy. — Skinął w stronę kawerny. — Czy też możemy?

Nowago pokręcił głową.

— Nie, Łazarze Grigoriewiczu — powiedział. — Nie jesteśmy w stanie.

Rozległ się długi ssący dźwięk, rufa crawlera zniknęła i na czarnej powierzchni wody, jeden za drugim, pojawiło się i pękło kilka bąbli.

— Tak, raczej nie jesteśmy w stanie — powiedział Mandel. — Musimy więc iść, Piotrze Aleksejewiczu. To drobiazg — trzydzieści kilometrów. Dojdziemy za pięć godzin.

Nowago przyglądał się czarnej wodzie, na której już się pojawił cienki lodowy wzór. Mandel spojrział na zegarek.

— Jest osiemnasta dwadzieścia. Na miejscu będziemy o północy.

— O północy — powiedział Nowago z powątpiewaniem. — Otóż właśnie, o północy.

Pozostało trzydzieści kilometrów, pomyślał. Z tego dwadzieścia przyjdzie iść w ciemnościach. Wprawdzie mamy okulary podczerwone, ale tak czy owak sytuacja jest kiepska. Że też coś takiego musiało się zdarzyć? Crawlerem przybylibyśmy tam jeszcze za jasnego dnia. Może by tak wrócić do Bazy i wziąć drugi crawler? Do Bazy jest czterdzieści kilometrów, a tam wszystkie crawlery są w rozjazdach, i na plantację przybędziemy dopiero jutro nad ranem, kiedy już będzie za późno. Ach, jak to niedobrze się złożyło!

— To nic, Piotrze Aleksejewiczu — powiedział Mandel i poklepał się po biodrze, gdzie pod dochęł wisiała kabura z pistoletem. — Idziemy.

— A gdzie narzędzia? — spytał Nowago.

Mandel się rozejrzył.

— Wyrzuciłem je — powiedział. — Aha, oto i one.

Zrobił kilka kroków i podniósł niewielki sakwojaż.

— Oto i one — powtórzył, ścierając z sakwojaża piasek rękawem dochy. — Idziemy?

— Idziemy — powiedział Nowago.

I poszli.

Przecięli dolinę, wdrapali się na diunę i znowu zaczęli schodzić. Szło im się lekko. Nawet ważący pięć pudów Nowago tutaj razem z butlami tlenowymi, systemem ogrzewczym, w futrzanym ubraniu i z łożowanymi zelówkami na buntach ważył wszystkiego czterdzieści kilogramów. Mały szczupły Mandel kroczył jak na spacerze, pomachując niedbale sakwożajem.

Piasek był spoisty, zbity i ślady na nim prawie nie zostawały.

— Za crawler strasznie mi się oberwie od Iwanienki — powiedział Nowago po długim milczeniu.

— Co pan tu zawinił? — oznajmił Mandel. — Skąd pan mógł wiedzieć, że tutaj jest kawerna? I bądź co bądź znaleźliśmy wodę.

— To nas woda znalazła — powiedział Nowago. — Ale za crawler mimo wszystko oberwę. Iwanienkę pan zna: „Dzięki za wodę, ale maszyny więcej panu nie powierzę”.

Mandel się zaśmiał:

— Nie szkodzi, damy sobie radę. A i wyciągnięcie tego crawlera nie będzie aż tak trudne? Patrz pan, co za piękniś!

Na grzbiecie pobliskiej wydmy, obróciwszy ku nim straszną trójkątną głowę, siedział mimikrodon — dwumetrowy jaszczur, rudy w cętki pod kolor piasku. Mandel rzucił w niego kamykiem, ale nie trafił. Jaszczur siedział, rozkraczywszy się, nieruchomy jak kawałek kamienia.

— Śliczny, dumny i pełen spokoju — zauważył Mandel.

— Irina mówi, że jest ich bardzo dużo na plantacjach — powiedział Nowago. — Ona je dokarmia?

Nie umawiając się przyspieszyli kroku. Diuny się kończyły. Teraz szli po płaskiej równinie solniska. Łowianepodeszwy dźwięcznie stukały na zmarzniętym piasku. W promieniach białego zachodzącego słońca płonęły wielkie plamy soli; wokół tych plam, jeżąc się długimi igłami, żółciły się kule kaktusów. Tych dziwnych roślin bez korzeni, bez liści, bez pni było na równinie bardzo dużo.

— Biedny Sławin — powiedział Mandel. — Niewątpliwie się niepokoi.

— Ja też się niepokoję — burknął Nowago.

— Ależ obaj jesteście lekarzami — powiedział Mandel.

— Ale jakimi lekarzami? Pan jest chirurgiem, ja internistą. Odbierałem poród wszystkiego raz w życiu, było to dziesięć lat temu w najlepszej poliklinice Archangielska, i za plecami stał mi profesor?

— Nie szkodzi — powiedział Mandel. — Ja odbierałem kilka razy. Nie trzeba tylko się denerwować. Wszystko będzie dobrze.

Mandelowi pod nogi dostała się kłująca kula, zgrabnie ją kopnął. Kula zakreśliła w powietrzu długi łagodny łuk i potoczyła się, podskakując i łamiąc kolce.

— Uderzenie i piłka powoli wytacza się na wolny — powiedział Mandel. — Mnie niepokoi co innego: jak dziecko będzie się rozwijać w warunkach zmniejszonego ciężenia?

— Mnie to akurat wcale nie niepokoi — odezwał się ze złością Nowago. — Rozmawiałem już z Iwanienką. Można będzie urządzić wirówkę.

Mandel pomyślał chwilę.

— To jest myśl — powiedział.

Kiedy omijali ostatnie solnisko, coś przenikliwie zagwizdało — jedna z kul, leżąca dziesięć kroków od Nowagi, wzbijała się wysoko w niebo i, zostawiając za sobą białą strugę wilgotnego powietrza, przeleciała między lekarzami i upadła w centrum solniska.

— Och! — zakrzyknął Nowago.

Mandel się zaśmiał.

— Ach, co za ohyda! — płaczącym głosem powiedział Nowago. — Za każdym razem, kiedy idę przez solniska, jakieś paskudztwo?

Podbiegł do najbliższej kuli i niezgrabnie ją kopnął. Kula wczepiła się igłami w połę jego dochy.

— Ohyda! — wysyczał Nowago, z wysiłkiem odrywając w marszu kulę od dochy, a następnie od rękawiczek.

Kula opadła na piasek. Jej było zdecydowanie wszystko jedno. I tak będzie leżeć? zupełnie nieruchomo, zasysając w siebie i sprężając rozrzedzone marsjańskie powietrze, aby później nagle je wypuścić z ogłuszającym gwizdem i przelecieć jak rakietą z dziesięć do piętnastu metrów.

Mandel nagle się zatrzymał, popatrzył na słońce i uniósł ku oczom zegarek.

— Dziewiętnasta trzydzieści pięć — mruknął. — Za pół godziny zajdzie słońce.

— Co pan powiedział, Łazarze Grigoriewiczu? — spytał Nowago.

On też się zatrzymał i obejrzał się na Mandela.

— Beczenie kozła nęci tygrysa — oznajmił Mandel. — Nie rozmawiaj pan głośno przed zachodem słońca.

Nowago się rozejrzył. Słońce stało już całkiem nisko. Plamy solnisk na równinie za nimi pogasły. Diuny pociemniały. Niebo na wschodzie stało się czarne jak tusz chiński.

— Tak — powiedział Nowago, rozglądając się. — Nie opłaca się nam głośno rozmawiać. Powiadają, że „ona” ma bardzo dobry słuch.

Mandel zamrugał oszronionymi rzęsami, zgiął się i wyciągnął z kabury ciepły pistolet. Szczęknął zamkiem i pistolet wsunął za wyłóg prawego unta. Nowago też wydobył pistolet i wsunął za wyłóg lewego unta.

— Pan strzela z lewej? — spytał Mandel.

— Tak — odpowiedział Nowago.

— To dobrze — powiedział Mandel.

— Tak mówią.

Popatrzyli na siebie, ale nic już nie można było wypatrzeć ponad maską i pod futrzaną otoczką kapuzy.

— Idziemy — powiedział Mandel.

— Idziemy, Łazarze Grigoriewiczu. Tylko teraz pójdziemy gęsiego.

— Dobrze — zgodził się wesoło Mandel. — Uwaga, ja idę pierwszy.

I poszli dalej: pierwszy Mandel z sakwojażem w lewej ręce, pięć kroków za nim Nowago. Jak szybko robi się ciemno, myślał Nowago. Zostało nam dwadzieścia pięć kilometrów. No, być może trochę mniej. Dwadzieścia pięć kilometrów przez pustynię w pełnych ciemnościach? I „ona” w każdej sekundzie może się na nas rzucić. Na przykład zza tej oto diuny. Albo zza tej dalszej. Nowago wstrząsnął się z zimna. Wyjechać trzeba było rankiem. Ale któż mógł wiedzieć, że na trasie leży kawerna? Zadziwiający pech. Ale jednak wyjechać trzeba było rankiem. A nawet wczoraj, z wszędołazem, który zawiózł na plantację pieluchy i aparaturę. Zresztą wczoraj Mandel operował. Robi się coraz ciemniej. Mark niewątpliwie już nie może znaleźć sobie miejsca. Biega co chwila na wieżę popatrzeć, czy aby nie jadą długo oczekiwani lekarze. A długo oczekiwani lekarze wloką się piechotą przez nocną pustynię. Irina go uspokaja, ale oczywiście też się denerwuje. To ich pierwsze dziecko, i pierwsze dziecko na Marsie, pierwszy Marsjanin? Jest bardzo zdrową i zrównoważoną kobietą. Kobietą wspaniałą! Ale ja na ich miejscu nie zdecydował bym się na dziecko. Nie szkodzi, wszystko będzie pomyślnie. Byleśmy tylko się nie spóźnili?

Nowago cały czas patrzył w prawo, na szarzące grzbiety diun. W prawo też patrzył Mandel. Dlatego też nie od razu zauważyli Tropicieli. Tropicieli też było dwóch i pojawili się z lewej strony.

— Ahoj, przyjaciele! — krzyknął ten, który był nieco wyższy.

Drugi z nich, krótki, prawie kwadratowy, zarzucił karabin na ramię i pomachał ręką.

— Oho — powiedział z ulgą Nowago. — Toż to przecież Opanasenko i Kanadyjczyk Morgan. Ahoj, przyjaciele! — wrzasnął radośnie.

— Co za spotkanie! — powiedział, podchodząc, drągał Humphrey Morgan. — Dobry wieczór, doktorze — powiedział, ściskając rękę Mandelowi. — Dobry wieczór, doktorze — powtórzył, ściskając rękę Nowadze.

— Dzień dobry, panowie — zahuczał Opanasenko. — Co za traf?

Zanim Nowago zdążył odpowiedzieć, Morgan nieoczekiwanie powiedział:

— Dziękuję, wszystko się zagoiło — i znowu wyciągnął do Mandela długą rękę.

— Co? — spytał zaskoczony Mandel. — Zresztą cieszę się. — O nie, on jest jeszcze w obozie — powiedział Morgan. — Ale też prawie jest zdrow.

— Humphrey, co pan tak dziwnie wyjaśnia? — zapytał zbity z tropu Mandel.

Opanasenko chwycił Morgana za kraj kapuzy, przyciągnął ku sobie i krzyknął mu prosto w ucho: — Humphrey, wszystko jest inaczej! Przegrałeś!

Następnie obrócił się ku lekarzom i wytłumaczył, że godzinę temu Kanadyjczyk uszkodził niechęcy membrany słuchowe w nausznikach i nic teraz nie słyszy, chociaż twierdzi, że w marsjańskiej atmosferze może się świetnie obchodzić bez pomocy „technique” akustycznej.

— Mówi on, że i tak wie, co mogą mu powiedzieć. Spieraliśmy się, i on przegrał. Teraz będzie musiał pięć razy wyczyścić mój karabin.

Morgan się roześmiał i oznajmił, że Gala, dziewczyna z Bazy nic tu do tego nie ma. Opanasenko machnął beznadziejnie ręką i spytał:

— Wy oczywiście do plantacji, na stację biologiczną?

— Tak — powiedział Nowago. — Do Sławinów.

— Słusznie — powiedział Opanasenko. — Bardzo tam na was czekają. Ale dlaczego piechotą?

— O, co za przykrość! — z poczuciem winy powiedział Morgan. — Nic zupełnie nie mogę usłyszeć.

Opanasenko przyciągnął go znowu do siebie i krzyknął:

— Poczekaj, Humphrey! Potem ci opowiem!

— Good — powiedział Morgan. Odszedł, rozejrzał się, i ściągnął z ramienia karabinek.

Tropiciele mieli ciężkie dwulufowe karabinki samopowtarzalne z magazynkiem na dwadzieścia pięć nabojów z pociskami rozpryskowymi.

— Utopiliśmy crawler — powiedział Nowago.

— Gdzie? — spytał szybko Opanasenko. — Kawerna?

— Kawerna. Na trasie, mniej więcej na czterdziestym kilometrze.

— Kawerna! — radośnie powiedział Opanasenko. — Humphrey, słyszysz?

Jeszcze jedna kawerna!

Humphrey Morgan stał plecami do nich i kręcił głową w kapuzie, przyglądając się ciemniejącym pagórkom.

— Dobrze — powiedział Opanasenko. — To później. Tak więc utopiliście crawler i zdecydowaliście się iść piechotą? A broń to macie?

Mandel poklepał się po nodze.

— A jakże — powiedział.

— Ta-ak — powiedział Opanasenko. — Przyjdzie was eskortować. Humphrey! Do diabła, nie słyszy?

— Poczekajcie — powiedział Mandel. — Ale po co?

— „Ona” jest gdzie tutaj — powiedział Opanasenko. — Widzieliśmy ślady.

Mandel i Nowago popatrzyli na siebie.

— Pan, Fiodorze Aleksandrowiczu, ma się rozumieć, widzi to lepiej — niezdecydowanie powiedział Nowago — ale uważałem? W końcu jesteśmy uzbrojeni.

— Wariaci — powiedział zdecydowanie Opanasenko. — Wszyscy wy tam w Bazie jesteście, proszę wybaczyć, głupkowaci. Uprzedzamy, tłumaczymy — i oto, proszę. Nocą. Przez pustynię. Z pistoletem. Mało wam Chlebnikowa?

Mandel wzruszył ramionami.

— Według mnie, w tym wypadku? — zaczął, ale wtedy Morgan powiedział: „Cicho!” i Opanasenko błyskawicznie zerwał z ramienia karabinek i stanął obok Kanadyjczyka. Nowago cichutko chrząknął i wyciągnął pistolet z unta. Słońce prawie już się schowało ? nad czarnymi zębatymi sylwetkami diun świeciła się wąska żółtozielona smużka. Całe niebo zrobiło się czarne, pełne gwiazd. Blask gwiazdny spoczywał na lufach karabinów i widać było, jak lufy powoli się poruszają w prawo i w lewo.

Potem Humphrey powiedział: Przepraszam. Pomyłka. I wszyscy od razu się poruszyli. Opanasenko krzyknął Morganowi do ucha:

— Humphrey, oni idą do stacji biologicznej do Iriny Wiktorowny! Trzeba zaprowadzić!

— Good. Idę — powiedział Morgan.

— Idziemy razem! — krzyknął Opanasenko.

— Good. Idziemy razem.

Lekarze ciągle jeszcze trzymali w rękach pistolety. Morgan odwrócił się ku nim, przypatrzył się i zakrzyknął:

— O, to niepotrzebne! Schowajcie je.

— Tak, tak, schowajcie — powiedział Opanasenko. — I nie zamierzajcie strzelać. Nałóżcie też okulary.

Tropiciele już byli w okularach podczerwonych. Mandel wstydliwie wsunął pistolet do głębokiej kieszeni dochy i przełożył sakwojaż do prawej ręki. Nowago chwilę zwlekał, następnie włożył pistolet znowu za wyłóg lewego unta.

— Idziemy — powiedział Opanasenko. — Poprowadzimy was nie trasą, lecz na przełaj, przez wykopki. Będzie bliżej.

Teraz w przedzie i z prawej strony Mandela szedł Opanasenko z karabinkiem pod pachą. Z tyłu i z prawej strony Nowagi kroczył Morgan. Karabinek na długim pasie zwiisał mu z szyi. Opanasenko szedł bardzo szybko, ostro zbaczając na zachód.

W okularach podczerwonych diuny wydawały się być czarno-białe, a niebo — szare i puste. Podobne to było do rysunku ołowiem. Pustynia szybko stygła i rysunek stawał się coraz mniej kontrastowy, jakby się zaciągał mglistym dymkiem.

— A dlaczego was tak ucieszyła nasza kawerna, Fiodorze Aleksandrowiczu?

— spytał Mandel. — Woda?

— Naturalnie — powiedział Opanasenko, nie odwracając się. — Po pierwsze — woda, a po drugie — to w jednej z kawern znaleźliśmy płyty okładzinowe.

— Ach, tak — powiedział Mandel. — Oczywiście.

— W naszej kawernie znajdziecie cały crawler — posępnie burknął Nowago.

Nagle Opanasenko ostro skręcił, omijając równy placyk piasku. Na skraju placyku stała tyka ze zwieszoną chorągiewką.

— Ruchome piaski — odezwał się z tyłu Morgan. — Bardzo niebezpieczne. Ruchome piaski były prawdziwym przekleństwem. Miesiąc temu został zorganizowany specjalny oddział ochotników—zwiadowców, który miał za zadanie odnaleźć i oznaczyć wszystkie działki ruchomych piasków w okolicach Bazy.

— Ale przecież, zdaje się, Hasegawa udowodnił — powiedział Mandel — że wygląd tych płyt można też wytłumaczyć i przyczynami naturalnymi.

— Tak — powiedział Opanasenko. — W tym jest problem.

— A znaleźliście cokolwiek w ostatnim czasie? — spytał Nowago.

— Nie. Na wschodzie została znaleziona ropa, znaleziono bardzo interesujące skamieniałości. Ale po naszej linii — nic. Przez pewien czas szli w milczeniu. Następnie Mandel powiedział po głębokim namyśle:

— Nic dziwnego — prawdopodobnie — w tym nie ma. Na Ziemi archeolodzy mają do czynienia z resztkami kultury, która ma co najwyżej sto tysięcy lat. A tutaj — dziesiątki milionów. Odwrotnie, byłoby to dziwne?

— A i my tak bardzo się nie skarżymy — powiedział Opanasenko. — Od razu dostaliśmy tak tłusty kąsek ? dwa sztuczne satelity. Nawet kopać nic nie musieliśmy. I poza tym — dodał po chwili milczenia — szukanie jest nie mniej ciekawe, niż znajdowanie.

— Tym bardziej — powiedział Mandel — że oswojona przez was przestrzeń na razie jest taka mała?

Potknął się i omal nie upadł. Morgan odezwał się półgłosem:

— Piotrze Aleksejewiczu, Łazarze Grigoriewiczu, podejrzewam, że wy cały czas rozmawiacie. Teraz nie wolno. Fiodor to poświadczy.

— Humphrey ma rację — powiedział ze skrucą Opanasenko. — Lepiej zamilknijmy.

Minęli pasmo wydm i zeszli do doliny, gdzie słabo od gwiazd mieniły się solniska. Znowu, pomyślał Nowago. Znowu te kaktusy. Nigdy jeszcze mu się nie trafiło widzieć kaktusy nocą. Kaktusy promieniowały równą jasną podczerwienią. Jasne plamy porozrzucane były po całej dolinie. Bardzo pięknie!, pomyślał Nowago. Może nocą nie pobrykują. To byłaby przyjemna niespodzianka. Nerwy i bez tego są napięte: Opanasenko powiedział, że „ona” jest gdzieś tutaj. „Ona” jest gdzieś tutaj — Nowago spróbował sobie wyobrazić, jakby się teraz czuli bez tej osłony po prawej, bez tych spokojnych ludzi z ich ciężkimi śmiercionośnymi armatami w pogotowiu.

Zapomniany strach przeszedł mrozem po skórze, jakby pod ubranie przeniknął zewnętrzny mróz i dotknął nagiego ciała. Z pistolecikami pośród diun nocą? Ciekawe, czy Mandel potrafi strzelać? Niewątpliwie potrafi, przecież przez kilka lat pracował na stacjach arktycznych. Ale jednak? Dureń, nie domyślił się w Bazie, że trzeba zabrać broń!, myślał Nowago. Bylibyśmy teraz dobrzy bez Tropicieli? Prawdę mówiąc to o broni nie było kiedy pomyśleć. A i teraz myśleć trzeba o czym innym, o tym, co będzie, kiedy dotrzemy do stacji biologicznej. To jest ważniejsze. Jest to teraz w ogóle najważniejsze — najważniejsze ze wszystkiego.

— „Ona” zawsze atakuje od prawej strony, myślał Mandel. Wszyscy mówią, że ona atakuje tylko od prawej strony. To niezrozumiałe. I nie można zrozumieć tego, dlaczego ona w ogóle atakuje. Całkiem jakby przez ostatni milion lat zajmowała się tylko napadaniem od prawej strony na ludzi, którzy nieostrożnie nocą oddalali się piechotą od Bazy. Można zrozumieć, dlaczego na tych, co się oddalili. Można sobie wyobrazić, dlaczego nocą. Ale dlaczego na ludzi i dlaczego od prawej strony? Czyżby Mars miał swoich dwunogów, łatwo chwytyanych od prawej strony czy też trudno chwytyanych od strony lewej? No to gdzie oni są? Przez pięć lat kolonizacji Marsa nie spotkaliśmy tu zwierząt większych niż mimikrodon. Zresztą, „ona” też się pojawiła wszystkiego dwa miesiące temu. Przez dwa miesiące osiem przypadków ataku. I nikt jej nie widział jak należy, dlatego że atakuje tylko nocą. Ciekawe, co to takiego. Chlebnikow miał rozerwane prawe płuco, trzeba mu było wstawić sztuczne i dwa żebra. Jak można sądzić po ranie, ma niezwykle skomplikowany aparat gębowy; przynajmniej osiem szczęk z ostrymi jak brzytwa płytkami tnącymi.

Chlebnikow pamięta tylko długie błyszczące ciało z gładkim włosiem. Skoczyła na niego zza wydmy z odległości trzydziestu kroków? Mandel szybko rozejrzał się na boki. Oto szlibyśmy teraz we dwójkę? Ciekawe, czy Nowago umie strzelać? Niewątpliwie umie, przecież długo pracował w tajdze z geologami. Dobrze wymyślił z tą wirówką. Siedem do ośmiu godzin normalnego ciężenia na dobę będzie dla chłopczyka w pełni wystarczające.

Chociaż też dlaczego — dla chłopczyka ? A jeśli to będzie dziewczynka? To jeszcze lepiej, dziewczynki łatwiej znoszą odchylenia od normy?

Dolina z solniskami została za nimi. Po prawej stronie zaczęły się ciągnąć długie wąskie transeje i stożkowate kupy piasku. W jednej z transei stała koparka ze smutnie opuszczonym czerpakiem.

Koparkę trzeba ściągnąć, pomyślał Opanasenko. Czego ona się tutaj niepotrzebnie płacze? Prędko się zaczną burze. Chyba ją odprowadzę w drodze powrotnej. Szkoda, że jest taka powolna — po diunach nie więcej niż kilometr na godzinę. A to byłoby przyjemne. Nogi się dają we znaki. Zrobiliśmy dzisiaj z Morganem pięćdziesiąt kilometrów. W obozie będą się niepokoić. Nie ma co, nadamy radiogram ze stacji biologicznej. Co tam też na stacji biologicznej będzie! Biedny Sławin. Będzie jednak fajnie — na Marsie będzie malec! Oznacza to, że będą ludzie, którzy kiedyś powiedzą: „Urodziłem się na Marsie”. Byle się tylko nie spóźnić. Opanasenko poszedł szybciej. Cóż za ludzie z tych doktorów!, pomyślał. Zaiste, doktorów żadne zasady nie obowiązują. Dobrze, że ich spotkaliśmy. Widocznie w Bazie źle rozumieją, czym jest pustynia nocą. Byłoby dobrze wprowadzić patrol, a jeszcze lepiej — obławę. Na wszystkich crawlerach i wszędołazach Bazy.

Humphrey Morgan, pogrążony w martwej ciszy, kroczył z położonymi na karabinku rękami, i cały czas patrzył w prawo. Myślał o tym, że w obozie, poza dyżurnym, zaniepokojonym ich nieobecnością, wszyscy już niewątpliwie śpią; że jutro trzeba grupę przeprowadzić do kwadratu E—11; że teraz mu wypadnie przez pięć kolejnych wieczorów czyścić „Fiodor’s gun”; że jeszcze wypadnie naprawiać urządzenie słuchowe. Następnie pomyślał, że z lekarzy to zuchy i śmiałki, i że Irina Sławina też jest zuchem i śmiałkiem. Następnie zaś przypomniał sobie Galę, radiooperatorkę z Bazy i z żalem pomyślał, że podczas spotkań ona zawsze go pyta o Hasegawę. Japończyk jest wspaniałym kompanem, ale ostatnio też zaczął często odwiedzać Bazę. Trudno w istocie się spierać — Hasegawa ma mądrze w głowie. On pierwszy dał myśl, że polowanie na „latającą pijawkę” („sora-tobu chiru”) może mieć bezpośredni związek z zadaniami Tropicieli, dlatego że może naprowadzić ludzi na ślad marsjańskich dwunogów? Ci dwunodzy? Zbudować dwa gigantyczne satelity i nie zostawić nic więcej?

Opanasenko nagle zatrzymał się i podniósł rękę. Zatrzymali się wszyscy, a Humphrey Morgan podrzucił karabin i gwałtownie obrócił się w prawo.

— Co się stało? — spytał Nowago, starając się mówić spokojnie. Miał wielką chęć wyciągnąć pistolet, ale się krępował.

— „Ona” jest tutaj — powiedział niegłośnie Opanasenko. Pomachał ręką do Morgana.

Ten podszedł, a oni się nachylili, wpatrując się w piasek. Na zbitym piasku widoczna była płytka szeroka koleina, jakby przeciągnięto tędy worek z czymś ciężkim. Koleina się zaczynała w odległości pięciu kroków na prawo i kończyła na piętnastu po lewej.

— Ot i wszystko — powiedział Opanasenko. — Wyśledziła nas i idzie za nami.

Przestąpił przez koleinę i poszli dalej. Nowago zauważył, że Mandel znowu przełożył sakwojaż do lewej ręki, a prawą wsunął do kieszeni dochy. Nowago się uśmiechnął, ale nie czuł się dobrze. Odczuwał strach.

— Cóż — powiedział Mandel nienaturalnie wesołym głosem. — Skoro nas wytropiła, to możemy rozmawiać.

— Możemy rozmawiać — powiedział Opanasenko. — A kiedy skoczy, padajcie twarzą do dołu.

— Dlaczego? — spytał ze zdziwieniem Mandel.

— Leżących nie rusza — wyjaśnił Opanasenko.

— Ach tak, racja.

— Pozostaje tylko drobiazg — mruknął Nowago. — Poznać, kiedy skoczy.

— Pan to zauważy — powiedział Opanasenko. — Zacniemy strzelać.

— Ciekawe — powiedział Mandel. — A mimikrodony to „ona” atakuje? Wiecie, kiedy one tak stoją słupkiem? Na tylnych łapach i ogonie? Tak! — zakrzyknął. — Być może bierze nas za mimikrodony?

— Mimikrodonów nie ma co śledzić i atakować akurat od prawej — powiedział Opanasenko z rozdrażnieniem. — Do nich można po prostu podejść i je zjadać — jak komu wygodniej, czy od głowy, czy od ogona.

Po kwadransie przecięli znowu koleinę i po następnych dziesięciu minutach drugą. Mandel umilkł. Nie wyjmował teraz prawej ręki z kieszeni.

— Skoczy za pięć minut — napiętym głosem powiedział Opanasenko. — Jest teraz na prawo od nas.

— Ciekawe — cichutko powiedział Mandel. — A gdyby tak iść tyłem, to też skoczy od prawej?

— Niech pan zamilknie, Łazarze Grigoriewiczu — powiedział przez zęby Nowago.

Skoczyła po trzech minutach. Pierwszy wystrzelił Morgan. Nowadze zadzwoniło w uszach; zobaczył podwójny rozbłysk wystrzału, proste jak promienie dwa tory pocisków i białe gwiazdy wybuchów na grzbiecie pagórka. Sekundę później wystrzelił Opanasenko. Bach–bach, bach–bach! — grzmiały wystrzały karabinów i było słychać, jak pociski z tępym trzaskiem rozrywają się w piasku. Przez moment Nowadze się wydało, że zobaczył wyszczerzony pysk o wypukłych oczach, ale tory pocisków i gwiazdy wybuchów już się przemieściły daleko w bok, i zrozumiał, że się omylił. Coś długiego i szarego błyskawicznie przemknęło nisko nad pagórkami, przecinając gasnące nitki torów pocisków, i dopiero wtedy Nowago się rzucił brzuchem w piasek. Trach, trach, trach! — Mandel klęczał na jednym kolanie i trzymając pistolet w wyciągniętej ręce, pospiesznie wypróżniał magazynek gdzieś w przestrzeń między Morganem i Opanasenko. Bach–ba–bach, bach–ba–bach! — grzmiały karabiny. Teraz Tropiciele strzelali po kolei. Nowago zobaczył, jak długi Morgan na czworakach wdrapał się na pagórek, upadł, jego ramiona zadrgały od wystrzałów. Opanasenko strzelał z kolana i białe wystrzały raz po razie oświetlały czarne okulary i czarną część twarzową maski tlenowej.

Następnie nastąpiła cisza.

— Odparliśmy — powiedział Opanasenko, podnosząc się i otrząsając piasek z kolan. — Tak jest zawsze: jeśli na czas otworzyć ogień, „ona” skacze w bok i ucieka.

— Jeden raz ją trafiłem — głośno powiedział Humphrey Morgan. Było słychać, jak z brzękiem wyciągnął pusty magazynek.

— Wypatrzyłeś ją? — spytał Opanasenko. — Tak, on przecież nie słyszy.

Nowago się podniósł z postękiwaniem i spojrzał na Mandela. Mandel zawinął połą dochy i wkładał pistolet do kabury. Nowago powiedział:

— No wie pan, Łazarze Grigoriewiczu?

Mandel zakaszłał ze skruczą.

— Zdaje się, że nie trafiłem — powiedział. — „Ona” się przemieszcza z niezwykłą szybkością.

— Ba—ardzo się cieszę, że pan nie trafił — powiedział z irytacją Nowago.

— Było tutaj wiele celów!

— Ale pan, Piotrze Aleksejewiczu, widział ją? — spytał Mandel. Nerwowo zacierał ręce w futrzanych rękawicach. — Wypatrzył ją pan?

— Była szara i długa jak szczupak.

— I nie ma kończyn! — powiedział z podnieceniem Mandel. — Zupełnie wyraźnie widziałem, że nie ma kończyn! I, jak sądzę, nie ma też oczu!

Tropiciele podeszli do lekarzy.

— W takich ciemnościach — powiedział Opanasenko — bardzo łatwo wyszczególnić, czego „ona” nie ma. Zdecydowanie trudniej powiedzieć, co ma. — Tu się zaśmiał. — No dobrze, koledzy. Najważniejsze, że atak odparliśmy.

— Pójdę poszukać ciała — nieoczekiwanie powiedział Morgan. — Raz jeden trafiłem.

Opanasenko obrócił się ku niemu.

— Co, Fiodor, powiedziałeś? — spytał Morgan.

— W żadnym wypadku — powiedział Nowago.

— Nie — powiedział Opanasenko. Przyciągnął Morgana do siebie i krzyknął:

— Nie, Humphrey! Nie ma czasu! Poszukamy jutro razem w drodze powrotnej!

Mandel popatrzył na zegarek.

— Oho! — powiedział. — Jest już dziesiąta piętnaście. Ile jeszcze zostało do przejścia, Fiodorze Aleksandrowiczu?

— Nie więcej niż dziesięć kilometrów. Będziemy tam przed dwunastą.

— Wspaniale — powiedział Mandel. — A gdzież to mój sakwojaż? — Pokręcił się w miejscu. — A, oto i on?

— Pójdziemy tak, jak wcześniej — powiedział Opanasenko. — Wy idziecie z lewej. Być może „ona” nie jest tutaj jedna.

— Teraz to już nie ma się czego obawiać — zamruczał Nowago. — Łazar Grigoriewicz ma pusty magazynek.

I poszli jak wcześniej. Mandel na przedzie, Nowago pięć kroków za nim, na przedzie i z prawa — Opanasenko z karabinem pod pachą, a z prawa w tyle — Morgan z karabinem na szyi.

Opanasenko szedł szybko i myślał, że to dłużej tak trwać nie może. Niezależnie od tego, czy Morgan zabił tę gadzinę czy nie, pojutrze trzeba pójść do Bazy i zorganizować obławę. Na wszystkich crawlerach i wszędołazach, z karabinami, dynamitem i rakietami? Przyszedł mu do głowy argument dla upartego Iwanienki i uśmiechnął się. Powie mu: „Na Marsie już się pojawiły dzieci, czas na oczyszczenie planety z wszelkiego paskudztwa”.

Cóż za nocka!, myślał Nowago. Wcale nie gorsza od każdej z tych, kiedy błędziłem w tajdze. Ale najważniejsze jeszcze się nie zaczęło i nie skończy się wcześniej niż rankiem o piątej. Jutro o piątej, no, o szóstej rano chłopak będzie wrzeszczał na całą planetę. Byle tylko Mandel nie nawalił. Nie, Mandel nie nawali. Tatuś Mark Sławin może być spokojny. Za kilka miesięcy będziemy całą Bazą nosić chłopca na rękach, jednako pytając: „A kto jest tutaj taki malutki? A kto jest tutaj taki pulchniutki?” Trzeba tylko bardzo dokładnie przemyśleć wszystko z wirówką. A w ogóle to czas wezwać z Ziemi dobrego pediatrę? Chłopiec koniecznie potrzebuje pediatry. Szkoda tylko, że następne statki będą dopiero za rok.

Co do tego, że właśnie się rodzi chłopiec, Nowago nie miał wątpliwości. Bardzo lubił chłopców, których można nosić na rękach, pytając się od czasu do czasu: „A kto jest tutaj taki malutki?”